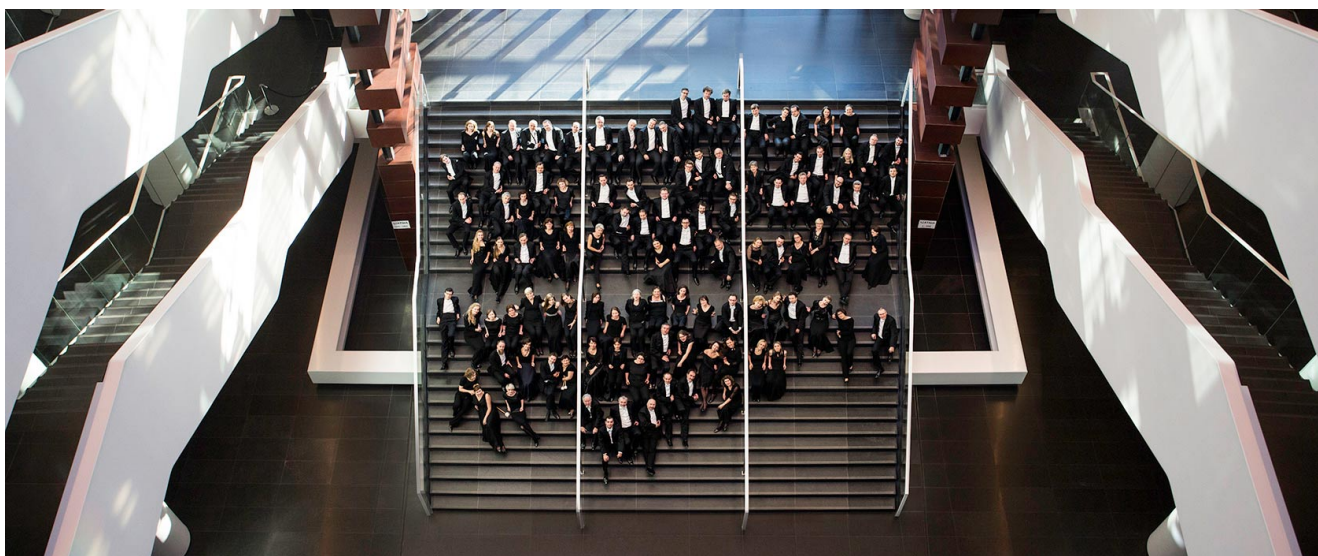


13 kwietnia 2018 roku mieliśmy w NFM koncert, gdzie obok znanej Symfonii z Nowego Świata Antonina Dvořaka pojawiły się dzieła mniej znane, a jednocześnie interesujące. Wrocławscy Filharmonicy ponownie mieli okazję grać ze swoim szefem artystycznym Giancarlo Guerrero. Zachęciło to z pewnością wielu melomanów do delektowania się muzyką mimo pięknej wiosny (deszcze zapowiadane na ten dzień rozeszły się po kościach), gdyż współpraca świetnego amerykańskiego dyrygenta z naszymi filharmonikami naprawdę przynosi owoce. Zespół znacząco poszerzył swoją paletę kolorystyczną i stał się znacznie bardziej precyzyjny dynamicznie.

Koncert rozpoczął się od kompozycji dyrygenta Esa-Pekka Salonena, który we własnej osobie przybędzie do NFM 25 kwietnia wraz z legendarną Philharmonia Orchestra. Dzieło trwające ok. 10 minut zostało zatytułowane Gambit i sprezentowane w 1998 roku z okazji czterdziestych urodzin Magnusowi Lindbergowi – przyjacielowi kompozytora i współzałożycielowi fińskiego laboratorium muzyki nowoczesnej.



Jedną z rozrywek okrutnych melomanów było pisanie i mówienie o „muzyce dyrygenckiej”. Niczym w *commedia dell'arte* pojawiła się w licznych recenzjach i krytykach postać Dyrygenta-Błazna, który jako jedyny przekonany jest o wielkości własnych dzieł, zazwyczaj wielkich, patetycznych, niekończących się i stylistycznie archaicznych. Główną ofiarą tych krytyk padł Wilhelm Furtwängler, którego dzieła rzeczywiście są patetyczne, gigantyczne i sięgające wstecz. Krytycy nie mogli wybaczyć tego, że największy z żyjących dyrygentów nie był ani trochę Beethovenem czy Strawińskim gdy chwytał za papier nutowy, aby go zapisać, a nie odczytać. Moim zdaniem nie mieli racji w swoim okrucieństwie, gdyż choć utwory Furtwänglera nie są kamieniami milowymi muzyki, to jednak są całkiem przyzwoicie napisane i w doskonałym wykonaniu mogą skłonić do artystycznych przeżyć. Inne ofiary archetypu Dyrygenta-Błazna to Ryszard Strauss i Gustav Mahler. Okrutnikom się w ich wypadku nie udało, gdyż potwierdzili oni logiczny wniosek, że ktoś kto doskonale opanowuje partytury innych twórców sam może stać się doskonałym znawcą muzycznej struktury i wielkoformatowej, symfonicznej ekspresji. A jak jest z Esa-Pekka Salonenem? Wydaje mi się, że dobrze. Jego dzieło ujęło mnie pięknym i oryginalnym koloryzmem, oraz intrygującym nakładaniem się planów dźwiękowych, ilustrującym odważną grę *va banque*. Były drobne momenty, gdzie twórcy trochę brakowało pary i muzyka stawała się nieco naiwna. Nie słyszeliśmy zatem arcydzieła, ale z pewnością całkiem ciekawy utwór. Doskonała znajomość instrumentacji nadaje utworom Esa-Pekka Salonenena cechę, której brakuje wielu współczesnym twórcom. Muzyka jest przyjemna, dostarcza zmysłowej rozkoszy wręcz, choć nie jest zachowawcza i neoromantyczna. Aby ukazać te przyjemne aspekty dzieła Fina trzeba doskonałej orkiestry. Wrocławscy Filharmonicy z Giancarlo Guerrero dzięki pięknym barwom i doskonałym *crescendom* i *decrescendom* odnaleźli się w *Gambicie*

jak ryby w wodzie.

Następnym zaprezentowanym dziełem był Koncert fortepianowy op. 38 Samuela Barbera. Za fortepianem zasiadł Garrick Ohlsonn, którego Skriabinem zachwycałem się dwa dni temu. Innym powodem do satysfakcji było rozszerzenie kanonu koncertów fortepianowych, gdyż choć fortepian jest najidealniejszym instrumentem koncertowym z uwagi na rozpiętość skali, barwy i dynamiki, to zazwyczaj grywa się któryś ze zbioru kilkunastu najwspanialszych koncertów (Brahms, Beethoven, Czajkowski, Mozart, Grieg, Chopin i jeszcze paru). Często kupując archiwalne nagrania legendarnego pianisty przeszłości martwię się na zasadzie: „to z pewnością piękne wykonanie, ale ile można mieć Czwartych koncertów Beethovena?”.

Barber to też ciekawy twórca, który choć umarł w 1981 roku, czyli nie tak dawno, pod wieloma względami był romantykiem, czasem nawet bardziej niż Sibelius. Do tego romantyzmu dokładał swoje światy, trudne do opisanie i zupełnie nie pasujące do tego, co w trakcie jego życia przeżywał świat muzyki współczesnej, zwłaszcza poza USA. Teraz, gdy w świecie muzyki klasycznej odbywa się stylistyczna kontrrewolucja, której znamionami są choćby „ochy i achy” nad dziełami Arvo Pärta, warto spojrzeć na Samuela Barbera inaczej. Dzięki pracowitości Garricka Ohlsonna, który naprawdę dopieścił interpretację tego masywnego i potężnego dzieła, oraz czarownemu wręcz akompaniamentowi Wrocławskich Filharmoników (nie mogłem uwierzyć, że polska orkiestra może tak doskonale akompaniować pianiście!), mieliśmy okazję przyjrzeć się dziełu Barbera. Podobnie jak solowe utwory fortepianowe Amerykanina, dzieło zaskakiwało stylistycznie. Obok romantyzmu, który kojarzył mi się najbardziej z Saint-Saënem, w szybkich częściach koncertu pojawiały się gwałtowne pasáže i figuracje fortepianu, które mogły przywołać na myśl muzykę automatyczną Ligietiego. Kolorystyka, uporządkowanie poszczególnych sekcji orkiestry, swego typu konkretna klarowność prowadziły z

pewnością od Barbera i Coplanda do instrumentacji minimalistów, często krytykowanej, ale mającej moim zdaniem specyficzny urok. Samuel Barber nadal pozostaje dla mnie tajemnicą, ale z pewnością to wykonanie w doskonały sposób przybliżyło mi po raz kolejny jego świat.

Na koniec był Antonín Dvořák i jego IX Symfonia e-moll op. 95 „Z Nowego Świata”, której filmowcy amerykańscy powinni postawić pomnik, gdyż tak często czerpią z niej inspiracje, a nawet zapożyczają całe fragmenty zapominając oczywiście o Dvořáku (nie pojawia się wśród tysięcy nazwisk przewijających się po końcu filmu, a powinien, choćby w Gwiezdnym Wojnie). Eksplorowanie IX Symfonii przez filmowców sprawia, że to dzieło wydaje nam się nieco baśniowe i naiwne, ale niesłusznie. Po prostu jego motywy melodyczne, niektóre przetworzenia dochodzą do nas z dziesiątków filmów rocznie, mamy zatem wrażenie, że Dvořák sięgał po jakieś zupełnie oczywiste rozwiązania muzyczne. Giancarlo Guerrero zdaje sobie chyba sprawę z tych rzeczy, gdyż zaczął „Z Nowego Świata” z ogromną powagą, nadając pierwszej części symfonii dużo większy dramatyzm, niż zazwyczaj ma to miejsce. Wydobył przy okazji z Filharmoników Wrocławskich rewelacyjne barwy, nie znane wcześniej polskim orkiestrom. Po dramatycznym wstępie zanurzył się w opowieści Dvořáka, wydobywając wspaniałe detale i jednocześnie dbając o mocną, amerykańską dynamikę. Symfonia była rzeczywiście „Z Nowego Świata”!